№ 14. Warszawa, 9 Kwietnia 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 k. 25. Numer pojedyńczy k. 20. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administr. **Żórawia 29, m. 2; Tel. 116 67.**

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2—3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

POGLĄDOWA LEKCJA SPOŁECZNA.

W chwili obecnej wszystko co dotyczy wytwórczości domowej ma dla nas specjalne znaczenie ze względu na zaogniony stan naszych stosunków w tej dziedzinie produkcji. Lecz ani rozprawy teoretyczne, ani bezpośrednie materjały, otrzymywane drogą ankiet — nie dają tak jaskrawego obrazu, grozą przejmującego widza — jak wystawa towarów, wytworzonych w chałupnictwie. Wystawy takie odbywają się w Niemczech, niedawno zaś podczas kongresu Lig nabywców w Genewie urządzono w miejscowym uniwersytecie międzynarodową ekspozycję takich towarów.

W sali rozłożono kilka tysięcy produktów, które dobitnie wykazały, że współczesny nabywca winien dbać nie tylko o cenę i gatunek nabywanego towaru, lecz również i o warunki, w jakich ów towar produkuje się i sprzedaje. Wystawa obejmowała najrozmaitsze artykuły z różnych gałęzi przemysłu międzykrajowego: koronki, hafty, odzież męską, damską, dziecinną, szlafroki, wyroby wełniane, żakiety, kwiaty sztuczne i t. d. i t. d.

Różniło wystawę kongresową od wystawy sklepowej jedynie to, że na małych karteczkach miast zwykłej ceny towaru figurowała ilość godzin pracy, jaką zużyto na wyprodukowanie danego artykułu — i wysokość płacy, jaką za ową ilość godzin otrzymali pracownicy.

Gdyby właściciele sklepów lub fabrykanci wprowadzili inowację tego rodzaju i zamiast wartości nominalnej towaru podawali do wiadomości publicznej ilość godzin i wysokość płacy, rzecz pewna, iż prawodawstwo ochronne czyniłoby większe postępy, a Liga nabywców stałaby się w krótkim czasie jedną z wpływowych międzynarodowych organizacji.

Etykietki te wymowniej odzwierciadlają warunki pracy, niż obszerne traktaty, i tak silnie oddziaływują na zwiedzających wystawę, że zmuszają ich do mimowolnych okrzyków zgrozy i oburzenia.

Kilka poniższych przykładów zilustruje wyzysk pracy domowej, posunięty do bezwzględnego cynizmu.

Otóż wokół jednego stolika widz podziwia misternie wykończony wełniany kaftanik dziecinny, wyprodukowany w Bazylei. Wytworzenie tej brasjerki pochłonęło 8½ godz. pracy, za które pracownica otrzymała 22 kop. (60 centimów) — czyli 2½ kop. za godzinę (7 centimów). Nieopodal rzuca się w oczy tiulowa sukienka dziecinna, ozdobiona kunsztownym haftem, niezmiernie delikatnej roboty. Za wyhaftowanie tuzina sukienek fabrykant płaci 1 fr. 25 cent. (około 50 kop.). Przylepiona do artykułu etykietka objaśnia widza, że pracownica za 14 — 16 godzinną pracę pobiera od 0,50 do 0,60 cent. dziennie, czyli, że jej budżet miesięczny

nie przenosi 15 — 18 franków. Obok znów — żakiecik dziecinny szydełkowej roboty. Robotnica pobiera 2 fr. 50 cent. *od tuzina* żakiecików. Wyprodukowanie 2 tuzinów pochłania 60 godzin, czyli za całotygodniową pracę chałupniczka otrzymuje 5 fr. Dalej, za 100 metrów haftu à jour avec applications przedsiębiorca płaci 1 fr. 30 cent., 5 centimów za godzinę i za *kilometr* 13 franków.

Wśród kolekcji towarów z Londynu przyjemnie wyróżnia się bluzka jedwabna. Jest to przedmiot masowej produkcji, przedsiębiorca więc płaci od tuzina (5 fr.). Przy przeciętnie 15-to godzinnej pracy, robotnica produkuje tygodniowo 2 tuziny bluzek, za które otrzymuje 10 franków. Wszelkie dodatki przy tej produkcji idą na rachunek pracownicy, co wynosi 1 fr. 25 cent., czyli zarobek tygodniowy wyraża się w 8 fr. 75 cent.[1])

Warunki pracy w przemyśle domowym u nas nie różnią się od warunków londyńskich, paryskich, newjorskich. Zbierając ankietę w sprawie chałupnictwa mieliśmy sposobność niejednokrotnie o tem się przekonać. Osobliwie utkwiła mi w pamięci wizyta w mieszkaniu jednej chałupniczki przy ulicy Krochmalnej.

W porze zimowej, w nieopalonej i brudnej stancji, typowo wycieńczona pracownica szyła tandeciarskie spodnie. Po rozwianiu wzelkich wątpliwości i po usunięciu jakichkolwiek bądź podejrzeń co do mojej osoby i pokojowych celów wizyty — otrzymywałem jasne i treściwe odpowiedzi na zadawane pytania. Dowiedziałem się mianowicie, że pracownica ta otrzymuje $5^1/_2$ kop. za uszycie pary spodni. Wszelkie koszta produkcji (nici, igły i t. p.) ponosi robotnica (1 kop. do pary). W ciągu 14 — 15 godzinnej pracy (w okresach sezonowych 17, 18 godzin i często całe doby raz lub dwa razy w tygodniu) owa chałupniczka jest w możności wyprodukować od 10 — 14 par dziennie.

Badając dziedzinę wytwórczości domowej w Warszawie przychodzimy do wniosku, że u nas, jak i gdzieindziej, chałupnictwo zlokalizowane jest głównie w konfekcji damskiej i męskiej, obejmującej kilka gałęzi przemysłu.

Godzi się już dziś rzucić myśl zorganizowania u nas podobnej wystawy towarów. Wystawa taka nieco poważniej zainteresuje ogół sprawą chałupnictwa, zwróci uwagę jego na tę stronę naszych stosunków ekonomicznych i być może poruszy martwe cielsko niektórych naszych sfer, w modzie przodujących. Sfery te zarówno u nas, jak i na Zachodzie, są zbyt płaskie i płytkie, zbyt przesiąknięte odwieczną obłudą warstwową i na tyle zgnuśniałe w wielkostylowej pustce, że trudno przejąć się im, wniknąć, wyczuć tragedję społeczną, kryjącą się poza suchemi danemi statystycznemi i cyframi, które w formie godzin pracy i kopiejkach płacy wyrażają ilość pokaleczonych i złamanych istnień ludzkich. Dla sfer tych konieczna jest wystawa towarów — poglądowa lekcja społeczna. Na lekcjach tych dowiadują się dopiero, że producent pięknej bluzki jedwabnej przyrósł do stołka z igłą w ręku, lub, że pracownica za kunsztownie wyhaftowany karczek otrzymała głodową płacę. Wówczas w ludziach tych budzi się czasem małe sumienie społeczne. Przedtem niektórzy z nich usiłowali leczyć rozwiniętą chorobę, wstępując do towarzystw opieki nad upadłemi dziewczętami, potem postarają się jej zapobiegać, zapisując się na członków nowopowstałych Lig nabywców.

Należy czynić wszystko, by sumienie społeczne budziło się na całej linji, a więc należy się posiłkować wszystkiemi środkami, które zadość potrzebie czynią. Trzeba więc wyzyskać i wystawę towarów, wzorując się na wystawie genewskiej.

Henryk Lukrec.

[1]) Prof. Edgard Milhaud. Les prolétaires de l'industrie à domicile. Revue № 6.

G. d'ANNUNZIO.

BAŁWOCHWALCY

(Dokończenie).

Wszystkie głosy ucichły na chwilę, gdy od strony placu dobiegał przeszywający krzyk kobiecy. Był to głos matki. Ogromna kobieta, zalana sadłem przedzierała się przez tłum w kierunku wozu. Nie mogąc unieść własnego ciężaru, wspinała się na wóz, rzuciła się do nóg syna i łkając, wymawiała wyrazy miłości głosem tak rozdzierającym, z wyrazem bólu, tak przerażająco zwierzęcym, że obraz wstrząsnął obecnemi i wszyscy odwrócili twarze.

— Zacheuszu, serce moje, radość moja! — zawodziła wdowa bez przerwy, całując stopy rannego, przyciągając go do swej piersi.

Ranny poruszył się, skurcz wykrzywił jego usta, rozwarły się na chwilę oczy mętne, zasnute mgłą. Wielkie łzy poczęły spływać, staczały się na jego policzki i szyję; na ustach pozostał bolesny grymas, z gardła wydobywało się głuche rzężenie. A wokół wszyscy napierali:

— Mów, Polura, kto cię poranił!

— Kto? Mów, Polura!

I w tem pytaniu wzbierał gniew, skupiała się wściekłość, rozpalała się żądza pomsty i nienawiść krwi ponownie zawrzała w duszy tłumu:

— Mów! Kto cię poranił? powiedz nam, powiedz!

Konający znów otworzył oczy; ponieważ trzymano go za obiedwie ręce, być może, pod wpływem żywego ciepła ludzkiego, nagle odzyskał zmysły i spojrzenie jego zabłysło. Z ust zaczęły się wydobywać niewyraźne dźwięki, wraz z obfitą, krwawą pianą. Słów nie można było jeszcze zrozumieć. W ciszy słychać było oddech przyśpieszony wielu piersi i w głębiach źrenic gorzał jeden płomień, gdyż dusza tłumu oczekiwała jednego wyrazu:

— . . . Ma . . . Ma . . . Ma . . . skalik.

— Maskalik, Maskalik! zawył Jakób, który stał nachylony, z nastawionem uchem do przyjęcia ostatnich słów z ust konającego.

Tłum zachuczał, zakotłował się, jak morze wzburzone. Nagle rzucony okrzyk, wzywający na trwogę zagłuszył wrzawę, rozpędził szalejący tłum. Jedna myśl błyskawicznie opanowała tych ludzi, myśl, streszczająca się w jednym akcie: uzbroić się, aby uderzyć na wroga. W duszy tłumu powstała nieubłagana konieczność zbrodni, krwawej pomsty za krew.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Niebezpieczeństwo wojny minęło. Obywatele Europy znów mogą spokojnie spać, pokój bowiem jest zapewniony, przynajmniej chwilowo i przynajmniej na terenie spraw bliskiego wschodu. Już kilka tygodni przed zakończeniem zatargu wskazywaliśmy na polityczny absurd zawarty w nieustannych pogłoskach o nieuniknionej wojnie. Narazie jednak trudno było orzec, kto jest najbardziej zainteresowany w tym rozsiewaniu trwogi, obecnie z załatwieniem ostatnich pertraktacji i to się wyjaśniło. Od samego początku było jasnem, że zatarg toczy się nie pomiędzy Serbją i Austrją, lecz pomiędzy Niemcami a Rosją, że Serbja nigdy nie pozwoliłaby sobie na wyzywający ton względem Austrji, gdyby nie była ku temu zachęcana przez Rosję, a Austrja nie uczyniłaby swego pierwszego kroku, którym było przyłączenie Bośni, gdyby nie miała zapewnionego poparcia Niemiec. Rosja i Niemcy miały poważne sprawy do załatwienia. Rosja szukała okazji do ponownego wysunięcia na arenę dyplomatyczną swych wpływów, Niemcy skorzystały z okoliczności aby podreperować swe zachwiane stanowisko dyplomatyczne. Znacznie łatwiej było uderzyć na sojusznika Francji i Anglji niż na Francję i Anglję — to prawda, to też nie uzyskały Niemcy całkowitego zadośćuczynienia z porażką w zatargu marokańskim, ale niemniej gra była przeprowadzona konsekwentnie a ostateczne kroki odznaczały się stanowczością i bezwzględną pewnością siebie — i to uczyniło wrażenie w Europie. Prasa europejska bądź z goryczą, bądź z zadowoleniem — nie może odmówić Niemcom świetnego zwycięstwa dyplomatycznego. Odczuwa to również prasa rosyjska, zwłaszcza bardzo patrjotycznie usposobiona prasa kadetów, która rzuca gromy na Niemców, wzywając swych współwyznawców do krzewienia w sercach płodnego uczucia nienawiści. Pod wrażeniem ciosu woła p. Milukow: „jużeśmy dość kochali, uczmy się też nienawidzieć“. Obojętne na ideał umiłowania własnej sprawy, społeczeństwo rosyjskie ma się skupić pod tym nowym sztandarem egoizmu wszechsłowiańskiego i nienawiści pangermańskiej. Jest to znamię stosunków, panujących w Rosji.

Niemcy po załatwieniu spraw zewnętrznych powróciły do kwestji nurtujących państwo wewnątrz. Znów została wysunięta sprawa półmiljardowego deficytu. Stanowisko Bülowa niewątpliwie znacznie się polepszyło dzięki zwycięstwu dyplomatycznemu. Rozlegającej się ze strony stronnictw rządzących krytyce przeciwstawia on teraz z wyzywającą butą swoją akcję dyplomatyczną i już nie prosi lecz żąda zatwierdzenia programu floty. I słusznie. Bowiem zwycięstwo to nie zawdzięczają Niemcy swemu wpływowi moralnemu lecz brutalnej sile militarnej. I żadne stronnictwo mieszczańskie nie może mu odmówić słuszności. Podobnież daje się zauważyć znaczne złagodzenie zatargu zachowawczo-liberalnego na gruncie t. z. reformy finansowej, konserwatystom znacznie trudniej będzie teraz oprzeć się podatkowi od spadków a liberałowie nie odważą się grozić zerwaniem bloku. Słowem, tym razem symfonja na strunach nacjonalistycznych została zagrana umiejętnie i uzyskała powszechną aplanzę. Stronnictwo robotnicze ma znów przed sobą trudne zadanie przezwyciężenia tego wybuchu szowinizmu.

Włochy najmniejszy udział brały w zatargu bałkańskim. Pozostały one wierne wymaganiom trójprzymierza o tyle, że, pomimo poważnych interesów na Bałkanach i wrogiego usposobienia ludności względem Austrji — zachowała zupełne i nieprzerwane milczenie. Ba, rząd włoski rozwiązał nawet parlament w obawie, że ten przeszkodzi mu milczeć.

Obecnie parlament znów został zwołany. Ministerstwo posiada wprawdzie większość w parlamencie, wszakże siły opozycji znacznie się wzmogły i, tym razem, nie kosztem klerykałów lecz kosztem większości rządowej. Szczególnie szczęśliwe były ostatnie wybory dla socjalistów, którzy uzyskali 20 nowych miejsc w izbie. To nadspodziewane zwycięstwo skrajnej lewicy spowodowało już na pierwszem posiedzeniu izby zmianę ugrupowania politycznego. Rząd, czując swoją słabość na wyborach popierał w sposób niedwuznaczny katolików wszędzie, gdzie można było spodziewać się zwycięstwa opozycji. To też katolicy odwdzięczają mu się obecnie, ogłaszając swoje nowe credo polityczne. Zarzucają oni swoje dotychczasowe stanowisko bezwzględnej opozycji, względem państwa świeckiego i wstępują do szeregów

---

IV.

Tłum, zbrojny w kosy, noże, topory, motyki, fuzje zgromadził się na placu przed kościołem. I bałwochwalcy wołali:

— Święty Pantaleonie!

Don Cnusolo, przerażony wrzawą, ukrył się za ołtarzem. Kilku fanatyków, pod przewodnictwem Jakóba przeniknęło do kaplicy; wyłamali mosiężne kraty, aby przedostać się do podziemi, gdzie przechowywano posąg świętego. Trzy lampy, sycone oliwą, rozsnuwały łagodne blaski w wilgotnem powietrzu podziemia. Za szkłem kryształowem błyszczał bałwan chrześcijański, z białą głową, okoloną wielkim sierpem złocistym. Ściany nikły pod bogactwem zawieszonych darów.

Gdy bałwan, niesiony na ramionach, czterech olbrzymów, ukazał się pod filarami przedsionka i zajaśniał w blaskach zorzy, tłum oczekujący powitał go głębokim westchnieniem tajonej żądzy; podmuch radości owionął wszystkie twarze. Żywa kolumna drgnęła. A wielka głowa świętego chwiała się w górze, patrząc przed się pustemi oczodoły.

Tłum posuwając się drogą wzdłuż rzeki, zatrzymał się przed wozem Palury. Wóz był pusty; widoczne były na nim liczne ślady krwi. Przekleństwa rozdarły ciszę.

Jakób krzyknął:

— Połóżmy tutaj świętego.

Bałwan został złożony na deskach i wóz, ciągnięty przez ludzi, ruszył w bród przez rzekę. Uśpiona wioska. Maskalik widziała na niewielkiej wyniosłości, śród drzew oliwnych. Psy ujadały zawzięcie tam i sam. Dotarłszy do przeciwnego brzegu, tłum żwawo podążył na przełaj, przez pola. Srebrny posąg, ponownie podjęty na barki, górował nad głowami ludzkiemi, śród zbóż wysokich, wonnych, skrzących się od świętojańskich świetlików.

Pasterz, strzegący pola w słomianym szałasie, na widok tego zbrojnego pochodu przejęty strachem obłędnym począł uciekać, krzycząc w niebogłosy:

— Na pomoc, na pomoc!

I ten krzyk odbił się aż o gaj oliwny.

Radwiańczycy uderzyli na wioskę. Dzięć, 12, 20 pocisków spadło na chaty, jeden po drugim, jak grad. Ozwał się trzask, potem krzyki, potem hałaśliwe zamykanie drzwi; z okien powypadały szyby. Biały tuman kurzu ciągnął za pędzącą chmarą napastników. Wszyscy uniesieni furją wojowniczą, wołali:

— Śmierć, śmierć!

Grupa bałwochwalców otaczała świętego Pantaleona. Padały plugawe obelgi na św. Gerwazego śród szczęku kos i noży.

— Złodziej, złodziej! Nędznik! Świece, świece!

„stronnictw narodowych". „Ojczyzną naszą są niepodzielne Włochy" — powiedział między innemi przywódca klerykałów — „będziemy pracowali dla ich dobra". A gdy głos z lewicy zakwestjonował: czy tylko wraz z Rzymem? — odpowiedział mówca, dając do zrozumienia, że idea: „król-papież" została zarzucona. Ten oportunistyczny i niewątpliwie nader rozumny krok ze strony wojującego kościoła ułatwi rządowi dalsze istnienie. Katolicy wyzyskali tu moment wielce dla nich pomyślny, dla rządu zaś jest to konsekwentne zakończenie jego kilkoletniego systematycznego przesuwania się z lewicy ku prawicy. Niezmiernie pomyślny stan gospodarczy włoski nakazuje stronnictwom burżuazji prowadzenie polityki zachowawczej — to prawda, ale klerykali nie są zachowawcami — są oni raczej rewolucjonistami w kierunku przeciwległym od lewicy i nie z nimi, ale raczej wbrew nim, wzniosły się Włochy na obecny poziom ekonomiczno-finansowy. Pomoc rewolucyjnej prawicy pozwoli niewątpliwie rządowi wybrnąć narazie z opałów parlamentarnych, ale niema dla rządu w papieskim Rzymie rzeczy trudniejszej jak rządzić w zgodzie z papieżem.

F r a n c j a m a s w o j e k ł o p o t y. Jedyny w swoim rodzaju strajk pocztiarzy wywarł wrażenie na stronnictwach mieszczańskich. Skutków tej olbrzymiej manifestacji narazie obliczyć ani przewidzieć niepodobna. Co czeka Francję? Czy burżuazja, zastraszona tą lekcją uczyni nagły i ostry zwrot na prawo i pociągnie za sobą drobne mieszczaństwo? Czy też drobne mieszczaństwo wytłomaczy sobie tę lekcję w inny sposób i pośpieszy z reformami zapobiegawczemi? Niewątpliwie ta ostatnia myśl kiełkuje i niedawno temu znalazła nader charakterystyczny wyraz w słowach ministra sprawiedliwości Brianda.

Briand, były członek zjednoczonej partji socjalistycznej, posiada jak wiadomo, nieokiełznaną ambicję. Jego dążeniem obecnie jest zajęcie miejsca swego naczelnika Clemenceau. I oto jakgdyby zapowiadając objęcie przez siebie nawy państwowej Francji, wygłosił on programową mowę na bankiecie w Normandji, w której to mowie ogłosił nową erę polityczną we Francji. Proletarjat zdaniem jego, słusznie domaga się praw, których jest pozbawiony, należy mu się słusznie udział w bogactwach, które on wytwarza i zadaniem rozumnego rządu jest dopuszczenie go do tego udziału. Mowa kandydata na prezesa gabinetu zawiera dużo ogólników i jeszcze więcej mglistych frazesów, ale niemniej potwierdza ona w sposób niezbity powtarzane przy każdej okazji słowa Jaurèsa. Jaurès bowiem już od dłuższego czasu na wszystkich kongresach i wielkich zgromadzeniach zwykł dowodzić, że klasy rządzące Francji, przekonawszy się, że niepodobna się już oprzeć wymaganiom klasy pracującej zaofiarują jej same udział w własności, wszakże udział zorganizowany w kierunku zachowawczym. I temu zaofiarowaniu niepodobna będzie odpowiedzieć radykalną odmową, zwykłą negacją. Trzeba będzie owszem przyjąć to wszystko, co nie sprzeciwi się jego idei, jako klasy jednolitej, co nie stanie na przeszkodzie jego rozwojowi ku jedności. Klasa robotnicza będzie musiała odrzucić to wszystko, co zdąża do podzielenia jej na grupy, na korporacje wrogie sobie i wzajemnie się zwalczające, natomiast przyjmie chętnie taką reformę, która posłuży za podstawę dla rozwoju własności klasy, własności, która przekształci się stopniowo w jedyną i niepodzielną własność całego narodu, wszystkich pracujących. Należy tedy przygotowywać się z góry aby nie być zaskoczonym niespodzianie.

Że mowa Brianda posiada symptomatyczne znaczenie dowodzi burza, jaką wywołała ona w całej prasie francuskiej, w której nie brak już głosów alarmujących naród, aby stanął na straży własności, którą rząd pragnie oddać w ręce nowożytnych barbarzyńców. Niewątpliwie będziemy wkrótce mieli okazję zaobserwować ciekawe nadwyraz zjawisko społeczne.

Almar.

STRAJK POCZTOWY WE FRANCJI.

W dziejach współczesnej Francji zaszło w tych czasach wydarzenie, którego powaga znacznie przewyższa chwilowe jego powody i skutki, — wydarzenie, które wywrze niewątpliwie wpływ głęboki na całą Europę. Jestto nadto wydarzenie dotąd niebywałe w dziejach społeczeństw europejskich. Zdarzały się tu i owdzie strajki pracowników kolejowych, wstrzymujące komuni-

---

Inni oblegali domy, waląc w nie toporami. Zdruzgotane drzwi padały i radwiańczycy z krzykiem wpadali do wnętrza. Półnagie kobiety kryły się po kątach, błagając o litość: broniły się, chwytając za oręż i raniąc sobie palce; rażone padały na podłogę, tarzały się w masie kołder, bielizny, skąd wyglądały ich ciała nędzne, obwisłe.

Jakób wysoki, chudy, czerwonawy, dowódca rzezi zatrzymywał się wszędzie, czyniąc nad głowami szeroki, rozkazujący ruch kosą. Podążał naprzód, nieustraszony, bez kapelusza, w imię św. Pantaleona. Trzydziestu z górą ludzi miał przy sobie. Wszyscy doznawali jakiegoś tępego uczucia, jak gdyby kroczyli śród pożaru, stąpali po chwiejącej się powierzchni, pod gorejącem sklepieniem, które za chwilę ma się zapaść.

Tymczasem ze wszech stron poczęła się zbierać obrona. Mieszkańcy Maskalika silni i czarni, jak mulaci, uzbrojeni w długie noże mierzyli w brzuch lub szyję, krzycząc głosem gardłowym. Utarczka stopniowo posuwała się w kierunku kościoła; z dwu czy trzech dachów wydobywały się płomienie. Gromadka kobiet i dzieci, przejęte popłochem, biegła naoślep.

Wtedy między mężczyznami nawiązała się walka jeszcze okrutniejsza, już nietamowana łzami i lamentem kobiet. Pod niebem koloru rdzy ziemia pokrywała się trupami. Zaciśnięte usta rannych syczały przekleństwami, nad wrzawą górował wciąż okrzyk radwiańczyków:

— Świece, świece!

Lecz wrota kościelne wciąż były zamknięte, potężne, wyciosane z dębu, nabite gwoździami. Mieszkańcy Maskalika bronili do nich przystępu, własne piersi wystawiając na razy toporów. Posąg chwiał się nad głowami walczących, dźwigany na barach czterech olbrzymów, zbroczonych krwią od stóp do głowy. Nie wolno im było ustąpić, gdyż ślubowali postawić swego bożka na ołtarzu wroga.

Mieszkańcy Maskalika walczyli, jak lwy, na kamiennych schodach, gdy Jakób nagle wypadł z tłumu, obiegł budynek, szukając miejsca niestrzeżonego, aby przeniknąć do zakrystji. Postrzegłszy wyłom, wcisnął się weń do połowy i kurcząc się i przeginając, wsunął się cały do wnętrza. Nikła woń kadzidła unosiła się śród murów domu bożego, przejętych chłodem nocy. Jak kot, skradając się na zewnątrz, kierował się ku drzwiom; potykał się o krzesła, kalecząc sobie twarz i ręce. Dudniała szalona praca toporów, zmagających się z odpornością dębu, gdy Jakób począł łamać żelazem zawiasy, z zapartym w piersi oddechem; błędne ogniki oślepiały jego oczy, z bolących ran sączyły się po ciele długie strugi krwi.

kacje na mniej lub więcej znacznej przestrzeni; pamiętny jest znakomity strajk włoski (obstrukcja) we Włoszech, który przez kilka tygodni szerzył zaburzenie w życiu gospodarczem państwa. Wszakże nosiły te przejawy ruchu mas charakter znacznie odmienny od tego, cośmy zaobserwowali ostatnio we Francji.

Nie było dotychczas wypadku w dziejach państw cywilizowanych, ażeby rząd nie potrafił się uporać ze zmową, zgnieść ją siłą prawa lub siłą broni, ażeby nie odpowiedział surowemi represjami w celach sankcji i zastraszenia. Tymczasem we Francji działo się inaczej. Rząd był nietylko bezsilny wobec strajku, ale musiał się zgóry zrzec wszelkich represji i kar i zdobyć zaniechanie strajku za cenę przyrzeczeń. Bezsilnym wobec tego ruchu był również parlament.

Powaga tego faktu wystąpi przed nami w całej jaskrawości, gdy sobie uprzytomnimy, jaką rolę odgrywa w życiu gospodarnym państwa współczesnego poczta i telegraf. Przerwanie tych komunikacji—to jakby zatamowanie biegu krwi w organizmie. Jeden dzień opóźnienia korespondencji, uniemożliwienie komunikacji telegraficznej stanowi prawdziwą klęsk, pociąga bowiem za sobą nieobliczone szkody materjalne, grozi ruiną handlu. Wobec dalekiej tylko ewentualności strajku podobnego w Anglji opinja publiczna zmusiła rząd do szybkiej i stanowczej interwencji. Parlament angielski stanął wówczas na wysokości swego zadania i zaspokoiwszy zawczasu słuszne żądania pracowników, zapobiegł klęsce. Gdyby obecny parlament francuski nie składał się z szarej masy, pozbawionej inicjatywy i samodzielności i ślepo wpatrzonej w demagogiczne i swawolne rządy Clemenceau, ba, gdyby posiadał choć kilka jednostek godnych swych mandatów, mających nietylko świadomość swego interesu wyborczego, ale nieco bardziej subtelne poczucie odpowiedzialności społecznej, rząd pana Clemenceau upadłby tego samego dnia kiedy rozpoczął się strajk. Bowiem na takie zaostrzenie zatargu, które wywołało strajk, może sobie pozwolić rząd bądź zupełnie nieodpowiedzialny przed społeczeństwem, bądź rozporządzający nader skutecznemi środkami zgniecenia ruchu w zarodku. Warunków tych jak widzimy we Francji nie było, przeto doprowadzenie do strajku było dowodem nietylko charakteryzującego rządy obecne, stawiającego na kartę wszystko szaleństwa i braku poczucia odpowiedzialności, ale także zupełnego niezrozumienia wymagań rozwoju społecznego. A jeżeli rządzić to znaczy przewidywać, to p. Clemencean nie przewidując tak potężnego ruchu dał dowód, że nie potrafi rządzić. W rządach tej podupadłej wielkości tkwi głęboki tragizm. Rządy jego wzbudziły wszystkie nadzieje, na jakie dawały prawo jego poprzednia działalność i głoszone przez niego idee, a nie zaspokoiły żadnej.

Ostatni strajk pocztowy we Francji różnił się od wszystkich innych tego rodzaju ruchów także podłożem, na którem powstał. Podłoże to było w znacznym stopniu moralne. Poczciarze francuscy położyli poważne zasługi dla obecnego ustroju politycznego Francji. W czasach, kiedy republika francuska walczyła o swoje istnienie, kiedy ze wszystkich stron nacierały na nią wrogie siły reakcji, znalazła ona w pracownikach pocztowych silne i skuteczne poparcie. Rozsiani po całym kraju, związani wszędzie ściślemi węzłami z ludnością, nie budzili oni w niej tej nieufności, jaką wzbudzali członkowie biurokracji, to też z tem większą łatwością wnosili oni pod każdą strzechę wraz z przesyłką pocztową i ostatnie idee rządów republikańskich, do których przywiązani byli duszą i ciałem. Gdzie nauczyciel, w obawie o zatarg z rodzicami, musiał ustąpić przed wpływem moralnym i politycznym kleru, tam znajdywał on gorliwego zastępcę w poczciarzu. I do dziś dnia poczciarze stanowią obok nauczycieli czynnik wyborczy nader wpływowy, z którym każdy kandydat liczyć się musi.

I przyznać trzeba, że rządy republikańskie nie zapomniały tej przysługi. Cały szereg ministrów kolejno bada, opracowuje i ulepsza warunki bytu pracowników poczt, znajdując zawsze poparcie w parlamentach. Ale z drugiej strony, sami poczciarze zdawali sobie sprawę ze swej siły i bynajmniej nie niedoceniali swych zasług. To też w miarę tego, jak republika się utrwalała i zwyciężała reakcje, wystawiali oni nowe żądania. Zorganizowani w olbrzymie stowarzyszenie, pragnęli oni zapomocą tego organu brać udział w zarządzie obsługi pocztowej, przedstawiać projekty zmian i reform, chcieli być nie podwładnymi rządu, ale jego współpracownikami, ba nawet posunęli się aż do żądania udziału w przyjmowaniu i promowaniu pracowników. Z punktu widzenia rozwoju demokracji, nie byłoby nic nadzwyczajnego w takiej organizacji obsługi pocztowej, któraby na czele swem miała nie rząd centralny lecz wybieralną ze swego łona władzę. Poczta nie jest terenem polityki, po-

---

— Święty Pantaleonie! — wołały zzewnątrz ochrypłe głosy. Radwiańczycy czując, że drzwi zaczynają powoli ustępować, ze zdwojoną energją zadawali ciosy. I zdawało się Jakóbowi, jakby cała nawa kościelna huczała rytmem uderzeń jego rozszalałego serca.

V.

Rozległ się trzask i drzwi stanęły otworem. Radwiańczycy rzucili się naprzód z gromkim okrzykiem zwycięskimi depcząc po ciałach poległych, unosząc na barach posąg świętego, biegli w kierunku ołtarza. W jednej chwili do wnętrza wtargnęła łuna płonących domów, fale drgań świetlnych rozwidniły nawę kościelną; posypały się blaski ze złotych świeczników, z trzcin złoconych organu w górze. I w tej powodzi żółtawego światła wszczęła się walka ponowna. Ciała skłębiły się w jedną zbitą masę, wiły się tam i sam w uściskach szaleństwa, szarpały się i dogorywały pod ławami, na schodkach ołtarza, w rogach konfesjonałów. Pośród murów uroczystych bożego domu, mrożący dźwięk żelaza, przeszywającego ciało i zgrzytającego po kościach, ostatni jęk piersi zdruzgotanych, odgłosy razów, godzących w twarde łby, charczenie rannych, walczących ze śmiercią, piekielny śmiech tryumfu nad zabitą ofiarą — wszystko odbijało się wyraźnie. Łagodna woń kadziła kołysała się nad walką.

Srebrny posąg nie dotarł dotąd do chwały ołtarza, gdyż gromada wrogów broniła doń przystępu. Jakób nacierał z kosą, sam ranny niejednokrotnie, nie ustępując ani piędzi, którą zdobył pierwszy. Już tylko dwaj dźwigali posąg świętego. Olbrzymia biała głowa chwiała się, jak pijana, nad kałużą krwi. Mieszkańcy Maskalika natarli z nową siłą.

Wtedy św. Pantaleon runął na posadzkę z brzękiem przenikliwym, który serce Jakóba przeszył głębiej, niż ostrze noża. Gdy krwawy kosiarz rzucił się, by go podźwignąć, jakiś drab potężny zwalił go z nóg. Zerwał się raz i drugi, lecz dwa ciosy kolejne obaliły go znowu. Krew zalała mu twarz, piersi i ręce; na barkach i na ramionach widać było kości, odkryte w ranach głębokich; wszakże usiłował jeszcze powstać. Rozjątrzeni tym dzikim uporem życia, trzema ciosami wideł ugodzili go w brzuch, skąd wytoczyły się jelita. Fanatyk padł na wznak, uderzając głową w srebrną pierś posągu; ruchem agonji zwrócił twarz do metalu, wyciągając ręce naprzód.

Tak zginął św. Pantaleon.

Przełożył z włoskiego *Wł. Gacki.*

siada ona własne środki, które winny być obracane na zapewnienie bytu pracownikom i udoskonalenie obsługi. I tego rodzaju organizacja obsługi publicznej bynajmniej nie odbiega od teorji głoszonych przez exanarchistę Clemenceau.

Niestety dzieje się we Francji zupełnie inaczej. Poczta nie posiada własnego niezależnego budżetu, dochody jej stanowią rubrykę dochodów państwa, a koszta przedsiębiorstwa czerpane są z ogólnych sum skarbowych, kosztem dochodów poczty zatykane są dziury w budżecie ogólnym, natomiast na powiększenie wydatków czteromiljardowy budżet Francji nader uporczywie broni się przeciwko wszelkim kosztownym reformom zarówno na rzecz publiczności, jak pracowników. W ten sposób poczta zostaje wciągnięta w dziedzinę polityki ogólnej i zarząd jej ulega wszystkim wahaniom i zmianom kursu politycznego.

I oto występuje na jaw odwrotna strona miljardowego budżetu współczesnych państw. Państwo współczesne jest nietylko potęgą militarną i biurokratyczną, jest ono nadto (i ta jego funkcja wzmaga się ustawicznie) pierwszorzędną potęgą ekonomiczną. W czteromiljardowym budżecie Francji mieszczą się nietylko wydatki na utrzymanie armji i urzędnictwa, ale nadto znaczne sumy obrotowe przedsiębiorstw przemysłowych i ekonomicznych. Uważane to było dotychczas za objaw nader sprzyjający dla państwa, bowiem te miljony ludzi od państwa uzależnionych i podwładnych mu, stanowią dlań podstawę w walce przeciwko wrogim mu żywiołom. I tak jest w gruncie rzeczy—potęga ekonomiczna państwa, jego funkcje gospodarcze stanowią największą rękojmię jego trwałości; im szersza jest dziedzina jego użyteczności gospodarczej tem głębiej przenika idea państwowości do mas, wszakże istnieje warunek nieodzowny: państwo musi się dostosować do tych nowych funkcji, odpowiednio zmienić całą swoją istotę. W przeciwnym radzie bowiem siły na której się ono opiera zwracają się, jak to się dzieje obecnie we Francji, przeciwko niemu. Zwalczać je to znaczy, łamać własną podporę, usuwać grunt pod nogami, nie zwalczać zaś, to znaczy spokojnie przyglądać się jak przerośnie ona dotychczasową organizację państwową i pochłonie ją.

Oto problemat, który stoi przed każdem państwem współczesnem — oto sprzeczności w których wikła się obecnie Francja. I niepodobna powiedzieć, aby parlament francuski nie rozumiał powagi zagadnienia, przeciwnie zarówno jego pobłażliwość dla strajkujących, jak dla rządu, wskazuje że nie jest mu ono obce, ale czuje się on zanadto nieudolnym, aby zagadnienie to nietylko rozstrzygnąć, ale chociażby rozstrzygać spróbować. Nie jest ono również obce rządowi pana Clemenceau, wszakże ten przystąpił doń w właściwy mu sposób. Clemenceau wziął sobie za zadanie prowadzić kraj na drogę postępu, ale postępu „rozumnego“, postępu nietylko umiarkowanego, ale zachowawczego. Metoda jego poleca na dopuszczeniu najszerszej wolności, na formalem udostępnieniu wszystkich swobód i na jednoczesnem nakładaniu kagańca na wszelki odruch społeczny, paraliżowaniu skutków tych swobód. Metoda ta wymaga nadzwyczaj subtelnych wykonawców, którzy potrafiliby, nie wzbudzając niezadowolenia lawirować pomiędzy temi sprzecznościami. Tymczasem p. Clemenceau bądź w braku lepszych jednostek, bądź ulegając swemu despotycznemu, nie znoszącemu przeczenia, charakterowi, bądź w celu zapewnienia sobie władzy niepodzielnie — otoczył się nicościami. Kierownik zarządu pocztowego wiceminister Simyan jest wybitnym przedstawicielem otoczenia p. Clemenceau. Doniedawna pełnił on obowiązki naczelnika szpitala dla obłąkanych i metody tam nabyte zastosował do zarządu pocztowego. Niezrównoważony w postępowaniu, nieudolny administrator, gwałtowny i nie grzeszący zbytnim rozumem potrafił on narazić siebie zarówno korzystającą z usług poczty publiczność, jak swoich podwładnych. Poczciarze wymagają innego traktowania niż mieszkańcy schronisk dla obłąkanych.

Na tem tle powstał ostatni konflikt. Początki jego datują już od lat trzech, kiedy listonosze zorganizowawszy się w związek zawodowy, przedstawili swoje wymagania. Simyan odpowiedział wówczas represjami, a strajk, za pomocą którego listonosze chcieli ustępstwo wymódz, został zgnieciony. Ogół pracowników poczty nie przyłączył się wówczas do ruchu listonoszów, był zbyt jeszcze mało zorganizowany, ale wyciągnął zeń dla siebie lekcję. Od tej chwili autorytet Simyana pada, a jednocześnie wynosi się i krzepnie potęga stowarzyszenia poczciarzy.

W myśl wyżej określonej metody rządów Clemenceau, Simyan chętnie wchodził w pertraktacje z zarządem stowarzyszenia poczciarzy, ale jednocześnie zmienił system promocji w tym duchu, aby awans urzędnika bardziej uzależnić od osobistego poglądu władz wyższych. Sądził on, że w ten sposób, żądni promocji urzędnicy zostaną zdobyci dla władzy kosztem stowarzyszenia. I tu się zawiódł. Poczciarze odpowiedzieli protestem przeciwko tej reformie cyrkularzowej, odwołali się do rządu, następnie do parlamentu, a gdy pierwszy odpowiedział odmową a drugi milczeniem, zagrozili strajkiem. Przypadek, który kazał panu Simyanowi zachować się niegrzecznie wobec telefonistek, dokonał reszty. Francuska rycerskość, której nie jest pozbawiony najbardniej upośledzony robotnik, została zadraśnięta w żywe ciało, na zniewagę kobiet odpowiedziano masowem opuszczeniem pracy. W ciągu dwuch, trzech następnych dni, strajk początkowo połowiczny żywiołowo coraz bardziej się rozrastał, na czwarty dzień komunikacja została całkowicie przerwana z wieloma punktami, na stacjach kolejowych nagromadziły się miljony listów, setki tysięcy depesz czekało koleji, żołnierze powołani do zastąpienia strajkujących nie potrafili sobie radzić z subtelnymi aparatami, źle oddawali treść depesz, wadliwie roznosili listy, słowem nie tylko nie złagodzili zła, ale je powiększyli. Zatarg pomiędzy pracownikami, a rządem zamienił się na klęskę narodową.

Podobnie, jak poprzedni strajk listonoszów, miał obecny strajk pracowników podłoże raczej moralne, wówczas chodziło o uznanie syndykatu, jako normalnego przedstawicielstwa, tym razem, o godność stowarzyszenia i pracowników. Poczciarze francuscy dalecy byli od stawiania zbyt daleko idących żądań, marzenia o przyszłości nie są im właściwe, nie domagali się samorządu poczty, conajwyżej, i to dość powściągliwie, mówili o udziale delegatów stowarzyszenia w radzie zarządzającej. Natomiast pragnęli, aby stowarzyszenie ich wywierało wpływ, choć nie decydujący, ale niemniej skuteczny na administrację, chcieli wpływem tym usunąć ministra, który nie zdołał stanąć na wysokości swego zadania. I oto nagle, pod wpływem wypadków zdobyli sobie prawo, którego parlament w żadnym razie i pod żadnym pozorem nie udzieliłby im,—prawo strajku. I po dokonanym fakcie, ani rząd, ani parlament nie odważył się na żadne represje, aczkolwiek przy każdej okazji podkreślano, że służba publiczna korzystać z prawa strajku nie może.

I tu tkwi powaga faktu, znaczenie zwycięstwa. Poczciarze nie zdobyli na razie nic. Simyan został u władzy, a reformy, dość nieokreślone zresztą, zostały tylko przyrzeczone. Ale to zamanifestowanie istnienia potęgi solidarnej, świadomej swych celów i dążeń i zdolnej o interesy swe walczyć—stanowi atk dziejowy, z którym przyszłość liczyć się musi.

Marjan Aleksandrowicz.

P. S. Po zakończeniu strajku, rząd pod błahym pretekstem próbował, pomimo danego słowa, pociągnąć do odpowiedzialności przywódców, ale i tu nie znalazł dostatecznego poparcia u parlamentu, dla którego racja

stanu państwa i władzy nie jest dostatecznym argumentem, wobec grożącego niebezpieczeństwa powtórzenia się klęski. Parlament odegrał w tym zatargu wogóle rolę nader poważną, choć nie zdobył się on na żaden krok decydujący, ale zachowaniem swem znacznie przyczynił się do złagodzenia zatargu i pojednania.

SOLIDARYZM I RZECZYWISTOŚĆ.

III.

Program ekonomiczny solidaryzmu nie jest wynikiem przedmiotowego badania współczesnych stosunków, — lecz subjektywnym tworem teoretyków solidaryzmu. Kamieniem probierczym każdego systematu społecznego jest sprawa własności. Solidaryści nie uznają w całości zarówno postulatów szkoły liberalnych ekonomistów, jak i szkoły marksizmu. Nie uznają przeto prywatnej własności, jako formy posiadania wiecznie trwającej, ani też społecznej własności — jako formy niepodzielnie panującej. Według szkoły solidarystów, ani własność zbiorowa nie wyruguje własności indywidualnej, ani też własność indywidualna nie pozostanie nadal jedyną postacią posiadania. Indywidualna i zbiorowa własność istnieć będą obok siebie[1]).

Przebijają się tu i krzyżują poglądy indywidualne i społeczne. Uznając istnienie własności prywatnej solidaryści tem samem utrwalają wolną konkurencję z jej naturalnemi i szkodliwemi skutkami, sankcjonują nierówność ekonomiczną t. j. zachowują najemnictwo, które stało się źródłem złego, *zwalczanego* przez tychże solidarystów. Uznając zaś własność zbiorową, dążą oni do stworzenia wolnych zrzeszeń ludzi, pracujących wspólnie w instytucjach społecznych, a więc wprowadzają tem samem zasadę równości ekonomicznej, pozbawionej wszelkich cech panowania jednych obywateli nad drugimi.

Jestto dowolna klasyfikacja własności, która nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistych warunkach.

Dziś panującą formą własności jest własność prywatna, — panującą zaś formą pracy jest praca społeczna. W świetle ewolucji stosunek ten (pracy do własności) przedstawiać się musi w ten sposób, że praca społeczna usunąwszy pracę indywidualną[2]) — wyeliminować musi na dalszych etapach rozwoju ekonomicznego również i indywidualne przyswajanie produktu przez posiadaczy środków produkcji. Podobnie — indywidualna praca chłopa pańszczyźnianego wyzwalała się stopniowo z więzów feudalnych, uniemożliwiając tym sposobem przyswajanie lwiej części produktu przez pasożytniczą arystokrację.

W dzisiejszych towarzystwach wytwórczych, opartych na zasadach zbiorowej pracy i zbiorowej własności — widzieć można zaczątki przyszłego społecznego posiadania, które, jako następstwo eliminacji indywidualnego przyswajania — przedstawiać będzie zrealizowaną równość ekonomiczną.

---

[1]) Tak formułuje ten pogląd p. Jerzy Kurnatowski w swej obszernej przedmowie do „Solidaryzmu" Gide'a. P. Rappaport w rozdziale „Stanowisko warstw średnich" str. 17 w sposób mniej jasny omawia sprawę uspołecznienia prywatnej własności. P. R. twierdzi np. że „radykalizm nie jest bynajmniej oporny idei uspołecznienia *tego, co może być* uspołecznione w celu zmiany krzywdzącego i ułomnego systemu najemnictwa". Jaka więc własność *nie może być* uspołeczniona? Jaka własność kapitalistyczna nie opiera się na systemie najemnictwa? Proszę p. R. zwrócić uwagę na to, że rola posiadaczy (w tysiącznych towarzystwach akcyjnych, kartelach, trustach i t. d.) sprowadza się *już dziś* do przyswajania produktu pracy zbiorowej i posiadacze ci czynnego udziału w procesie produkcji *nie biorą*.

[2]) Nb. jaka formę panującą.

Rozwój stosunków współczesnych prowadzi do co raz to doskonalszych form pracy i współżycia. Więc przyszła równość ekonomiczna będzie miała tę wyższość nad nierównością ekonomiczną, że stwarzać nie będzie hierarchji społecznej, grup uprzywilejowanych, mniej uprzywilejowanych i wydziedziczonych obywateli, lecz postawi ogół cały na jednej płaszczyźnie ekonomicznej, sprzęgając go istotnemi węzłami solidarności w walce o egzystencję.

Podobnie — równość obywatelska i pełnia praw politycznych posiada wyższość nad ich przeciwieństwami, gdyż państwo przechodzi w ręce całego ogółu, staje się organem jego woli, a nie uprzywilejowanej kasty lub wszechwładnych jednostek.

Dziś daje się zauważyć powszechne dążenie do osiągnięcia równości politycznej i, w miarę postępu cywilizacji coraz to inne narody (nawet najbardziej pod względem kulturalnym zacofane) — sięgają w naszych oczach po ten dorobek współczesny.

Nie mamy prawa wątpić, że, z chwilą, kiedy jedno ze społeczeństw, najdalej posuniętych na drodze demokratyzacji ustroju zdobędzie równość ekonomiczną, wówczas dążenie do zmiany współczesnego całokształtu stosunków przestanie cechować jedną klasę, lecz stanie się dążeniem ogólnoludzkim. Ostatnim wyrazem demokratyzmu będzie zespolenie pełni praw obywatelskich z pełnią kwalifikacji materjalnych — czyli zespolenie politycznej i ekonomicznej równości.

*
* *

W trzeciej części autor zastanawia się nad zadaniami radykalizmu polskiego. Nie przeoczając faktu podziału społeczeństwa na klasy p. Rappaport szablonowo rozdzielił społeczeństwo na warstw kilka i ofiarował je poszczególnym stronnictwom, warstwy średnie zaś zachował jako niepodzielną własność solidaryzmu.

Nawet z punktu widzenia radykalizmu — zamykanie się w ramach jednej warstwy społecznej jest niewybaczalną jednostronnością, która ogranicza pole działania, krępuje rozmach myśli politycznej, co staje w sprzeczności z istotą partji radykalnej, mającej pretensje do stronnictwa ogólno-krajowego, do odgrywania roli syntezy politycznej. Podstawy takiego stronnictwa mogły powstać jedynie na gruncie sztucznego rozklasyfikowania współczesnego społeczeństwa. Nawet w krajach wielce uprzemysłowionych, a więc i najbardziej zróżniczkowanych nie można ustanowić ścisłego podziału i dziś jeszcze np. nie ustał spór co do kwestji — do jakiej klasy społecznej zaliczyć t. zw. inteligencję. Interesy poszczególnych warstw zbiegają się dość często, dzięki czemu w stronnictwach najbardziej klasowych spotyka się różnorodne elementy społeczne, które ogniskują się w jednym organiźmie partyjnym nietylko z pobudek czysto materjalnych, lecz również często ze względów ideologicznych. Nawet w nieskazitelnie robotniczej organizacji — w Międzynarodówce Markса 64 r. — obok działaczy proletarjackich zasiadali w przodującym komitecie centralnym ideologowie warstw średnich — prudoniści. Również w łonie socjalnej demokracji mieszczaństwo jest dość licznie reprezentowane i w chwilach przesileń polityczno-ekonomicznych identyczne potrzeby łączą warstwy średnie z klasą robotniczą. Np. w Niemczech często stronnictwo proletarjackie podniesione zostaje do godności rzecznika narodowych interesów, — do roli partji ogólno-krajowej.

Autor zaś dobrowolnie zamyka wejście do środowiska robotniczego, wskutek czego stwarza dziwoląg partji politycznej — skurczoną przedstawicielką warstw średnich. Dzięki podobnym ograniczeniom — p. R. musiał przypisać rolę wyłącznego rzecznika klasy robotniczej stronnictwu reformistycznemu, wobec czego znów musiał też przyjść do wniosku, że radykalizm warstw średnich bez reformizmu proletarjackiego jest formalnie

bezsilny w dziedzinie realizacji programu solidaryzmu i przez to niewolniczo uzależnił jedno stronnictwo od drugiego. Z punktu widzenia logiki formalnej autor przedstawił zadanie radykalizmu polskiego w świetle niedorzecznem albowiem według niego solidaryzm bez reformizmu skazany jest na bezpłodność, zaś reformizmu w Polsce niema[1]) (i nie widać go w niedalekiej przyszłości) — *ergo* społeczeństwo nasze nie dojrzało jeszcze do idei solidaryzmu, nie dorosło do stworzenia radykalnego stronnictwa; zbyt słabem jest jeszcze dla realizacji programu reform społeczno-ekonomicznych. Autor jednak nie zważając na uzależnienie solidaryzmu od reformizmu (którego niema) usiłuje oprzeć program ewolucyjny radykalizmu wyłącznie na warstwach średnich. Nie idzie dalej, wyrzeka się ciągle wpływów na „przyległe szerokie sfery ludowe", pozostawiając je reformistom (których niema) — a więc wraca znów do punktu skąd wyszedł — t. j. że niemasz solidaryzmu bez rewizjonizmu. Zdawałoby się, że wyjściem z błędnego koła zależności i bezsilności jest rozwiązanie dylematu: albo przystąpić do tworzenia reformizmu, jako drugiej podstawy kulawego radykalizmu, albo też rozszerzyć zadania solidaryzmu i postarać się o wpływy w środowisku robotniczem, występując pod egidą solidaryzmu[2]). Tymczasem autor przeoczył sprzeczności w swojem rozumowaniu i znów w zakończeniu książki twierdzi, że budzić należy (jedynie) „*warstwy średnie* narodu z dziejowego letazgu".

Henryk Lukrec.

EDWARD DAWID.

DARWINIZM I ROZWÓJ SOCJALNY.

(Ciąg dalszy).

A tymczasem rwie się wciąż naprzód pęd życia kulturalnego i ludzie naszych czasów nietylko nie dają posłuchu wezwaniom do cofnięcia się wstecz, lecz—nie ustępują pod wpływem przepowiedni fatalistów, ani cząstki dostępnych im radości życia doczesnego. I słusznie!

Twierdzenie o nieuniknionym upadku narodów, które dosięgły szczytu kultury—jest hypotezą, nie sprawdzającą się w zastosowaniu do losów większości starożytnych ludów. Trwałość wielkich ustrojów państwowych została skruszona z wewnątrz przez narody, które uzyskały zwycięstwo dzięki wrodzonej wojowniczości. Ale było to tylko możliwe przy nizkim stopniu rozwoju techniki wojennej, która nawet najlepiej zorganizowanemu narodowi nie dawała takiej decydującej przewagi, jaką mają dzisiejsze ludy kulturalne nad dzikiemi i półdzikiemi plemionami. Dziś każdy naród pierwotny chociażby najbardziej dzielny i wojowniczy musi zginąć przy starciu się z cywilizowaną siłą. Potężną wartością objektywną przemysłowych ludów staje się dziedzina techniki wojennej, której żadna przyrodzona odwaga nie może się przeciwstawić. Sprawność wojenna narodów przestała być kwestją muskulatury i odwagi osobistej.

Ale po za tem, gdzież są narody, przed naciskiem których powinnyby się chronić ludy cywilizowane? Wszak narody kulturalne w oczach naszych wciągają całą ziemię w swój pochód rozwojowy. Żaden naród nie pozostaje nietknięty, a te które nie wykazują zdolności przystosowania się do nowych warunków, muszą bezwzględnie zginąć. Nie niszczenie starych kultur przez młode, bliżej natury stojące, narody, ale wytępienie lub podbijanie ludów pierwotnych przez kulturalne — oto rozgrywające się na całej kuli ziemskiej widowisko. Pozostaje tedy tytko ta możliwość, że zgangrenowane społeczeństwo dojdzie do zupełnego rozprzężenia i stanie się niezdolnem do utrzymania się na już zdobytym stopniu kultury.

Rozpadanie się na zdegenerowane grupki aż do zupełnej ruiny pozostałych jeszcze centrów kultury byłoby końcem okresu cywilizacji całego świata. Czy jednak jest prawdopodobny taki przebieg rozwoju społecznego?

Nic nas nie skłania do podobnego przypuszczenia. Stanowczo błędnem jest dopatrywanie się analogji pomiędzy organizmem pojedyńczego osobnika, a całego narodu. Wszak pod wyrazem „organizm społeczny" nie rozumiemy ciała fizycznego i jego funkcji fizjologicznych. Rozpatrując rozwój społeczny ludów, nie możemy się nań zapatrywać, jako na łańcuch zjawisk chemiczno-społecznych, ślepo od praw przyrody zależnych. Specyficzna różnica między rozwojem organicznym a historycznym polega na tem, że pierwszy odbywa się bez świadomego celu. Gdyby nawet skutek okazał się celowym, to jednakże nie przestaje on być rezultatem kombinacji, powstałych w bezświadomości. Zaś rozwój historyczny jest kombinacją nieświadomego procesu naturalnego, połączonego z wyraźnie wystawionemi celami aktów ludzkiej świadomości.

Im wyższym jest rozwój, tem więcej w nim miejsca dla świadomej woli ludzkiej. Dawniej objaśniało się to w ten sposób, że jednostki genjalne wpływały swojemi proroczemi widzeniami, swoją siłą woli i inteligencją na rozwój danego narodu. Zaś nowoczesne narody kulturalne wytworzyły tego rodzaju urządzenia społeczne, dzięki którym poznać można przebieg rozwoju organicznego i objektywnego ze ścisłością matematyczną (statystyka). Powstaje w ten sposób coraz racjonalniejszy pogląd na bieg życia. Coraz bardziej udaje się człowiekowi wniknąć w czynniki rozwoju, czy to przez prawodawstwo czy też instytucje społeczne, lub przez uświadomianie i kształcenie jednostek. Jakkolwiek stoimy jeszcze daleko od opanowania i zgłębienia społeczno-historycznego procesu życiowego, to jednak nie ulega wątpliwości, że osiągnięto już w tym kierunku kolosalne postępy i że cała tendencja rozwoju dąży do ujęcia teraźniejszości i przyszłości ludów pod panowanie świadomej celu, planowo działającej woli zbiorowej. Wychodząc z tego punktu widzenia, uznajemy możliwość a nawet konieczność przeniesienia teoretycznych poglądów—które, dzięki darwinistycznej teorji ewolucji — posiadamy—w dziedzinę praktycznego działania.

Przed jednostką i całem społeczeństwem stają tego rodzaju zadania: poznane już tendencje szkodliwe zniszczyć, a natomiast wytworzyć takie warunki wewnętrznej walki o byt, aby nie działo się to ze szkodą dla organizmu, i także, wszelkiemi środkami sprzyjać doborowi naturalnemu, w myśl coraz wyższego doskonalenia się.

Gdyby nam postawiono pytanie, jak to wszystko się przeprowadzi przez życie, to przedewszystkiem omówilibyśmy sprawę kultury ciała. Trzeba harmonijnie rozwijać i hartować organizm fizyczny, wciąż go doskonalić zgodnie z zasadą: piękna dusza w zdrowem ciele. Kiedy najlepszą bronią w walce o byt, będą: inteligencja i uspołecznienie, wtedy powstrzymany zostanie nadmierny rozwój muskulatury, uzębienia i tym podobnych cech zwierzęcych, które służyły jako broń, w walce o byt. Natomiast wysunie się tendencja zużytkowania ciała, jako instrumentu i nosiciela przeduchowionych funkcji. Skoro kulturalne społeczeństwa uznały zdrowe ciało, jako czyn-

---

[1]) Niema go w rzeczywistości, niema go też w książce pp.: R. i G.

[2]) Inna rzecz, że radykali chcąc pozyskać dla siebie proletarjat napotkają przeciwdziałanie ze strony partji robotniczej. We Francji w ostatnich czasach solidaryści zostali wyparci z wielu placówek, zajmowanych poprzednio. Nie zmienia to jednak charakteru naszej argumentacji z tego względu, że rozpatrywaliśmy zadania radykalizmu polskiego z punktu widzenia logiki formalnej, z pewnych powodów w powyższem rozumowaniu musieliśmy zająć jedynie stanowisko negatywne.

nik ich rozwoju, zatrzasnęły tem samem wrota przed ślepem staczaniem się ku zwyrodnieniu fizycznemu. Racjonalne wychowanie fizyczne młodzieży i zastosowanie kultury cielesnej także i do dorosłych, zdrowotne urządzenia, właściwe wyzyskiwanie wody, powietrza i światła słonecznego, a także odżywianie się dobre — uznane są jako najważniejsze czynniki hygieny społecznej. W zakres jej wchodzi jeszcze opieka nad zdrowiem publicznem, a więc: zdrowotność szkół, hygiena zajęć, polityka ochronna w stosunku do robotników, ze specjalnem uwzględnieniem opieki nad matkami i dziećmi. Jakkolwiek wątpliwem jest dziedziczenie cech nabytych, jednakże powszechnie wiadomo, że uzdrowienie albo uszkodzenie organizmu rodziców oddziaływa na plazmę zarodkową, a zatem przeniesione zostaje na potomstwo. Ludzie zdrowi z normalnym chemizmem, t. zn. z dobrze odżywianemi tkankami--będą mieli zdrowsze, odporniejsze dzieci, niż ci rodzice, których organizmy zostały wymęczone lub zatrute, skutkiem nieprzychylnych warunków życia. Polepszenie bytu robotników usunęłoby stokroć lepiej zwyrodniające czynniki, niż robi to śmierć przerzedzająca od czasu do czasu szeregi wycieńczonych robotników i robotnic.

Zaznaczono z naciskiem, że opieka nad niemowlętami stoi na przeszkodzie doboru naturalnego. Oczywiście, dzięki tej instytucji utrzymuje się przy życiu duża liczba słabych osobników, któreby w mniej kulturalnych czasach wczesną znalazły śmierć. I nie podlega też wątpliwości, że zredukowanie śmiertelności wśród niemowląt, drogą opieki społecznej, powiększa procent sztucznie podtrzymywanych istot niedołężnych. Jednakże takie wczesne wymieranie noworodków nie jest tylko rzeczą, przeciwko której buntuje się nasze sumienie, ale jest również fałszywie pojmowanem dobrem. Wszak wymierają nietylko dzieci, które przyszły na świat bez zasobu sił żywotnych, lecz również mnóstwo słabych latorośli, jeżeli tylko — nie były dość ostrożne przy wyborze rodziców. Pamiętajmy o tem, że potomstwo bogatych małżeństw, choćby zupełnie wątłe, zostaje jednakże—przy życiu. W każdym razie tylko ta część odchowanego potomstwa, która jest zdolną do pracy, powetowuje ofiary poniesione na jej wychowanie. Dążenie do powiększenia liczby takich osobników jest podstawową zasadą każdego rozumnego społeczeństwa.

Sprzeczność pomiędzy indywidualnemi a społeczno-gospodarczemi interesami w sprawie śmiertelności niemowląt daje się tylko w ten rozstrzygnąć sposób, że ustali się konieczność środków zapobiegawczych przeciwko przychodzeniu na świat chorych istot. Socjal-higieniczna profilaksja prowadzi tutaj jedynie i wyłącznie do zadawalniającego rozwiązania.

Bezwzględnym obowiązkiem tych, którym zdrowie ludu leży na sercu, jest zapobieganie rozmnażania się osobników nieuleczalnie chorych na choroby dziedziczne lub na nabyte — (zarażone). Dlatego byłby to bezwątpienia krok naprzód, gdyby pobierające się pary zamiast do księdza, szły po błogosławieństwo do doktora. Zwalczanie dziedzicznych — przez zarażenie zarodka — przenoszonych chorób pozostanie bez skutku, jeżeli będzie się tylko ratowało dorosłych, a nie będzie się zapobiegało powstawaniu nowego potomstwa.

Dla dopełnienia zakazu żenienia się osobom, nieuleczalnie chorym, pominniśmy też udzielić doktorowi prawo niszczenia zła w zarodku, t. zn. gdy ma się na rodzić dziecko z psychicznemi defektami. Wymaga tego nietylko konieczność zachowania zdrowia grupy społecznej, lecz i idea dobrze zrozumianej miłości bliźniego. Jest bowiem okrucieństwem wobec mającego się urodzić osobnika, pozwolić mu wstąpić w życie, które może się stać dlań tylko źródłem nieopisanych cierpień.

Jeszcze ważniejszem, gdyż mającem ogólniejsze znaczenie, będzie umożliwienie doboru przy wyborze męża lub żony. A znaczy to: precz z metodami wychowawczemi, które pozwalają młodzieży obu płci wyrastać w zupełnej nieświadomości o istocie i znaczeniu życia płciowego. Gdyby młodzi ludzie mieli właściwy pogląd na sprawę dziedziczności, to by jej tak lekkomyślnie nie traktowali. Ogromną korzyść przyniosłoby wspólne wychowywanie dzieci obojga płci, dzięki temu mogłyby one być razem przy pracy, zabawie i sportach. Dopiero w okresie swobodnego przestawania między sobą, młodzieniec i dziewczyna zdołają zrozumieć znaczenie cielesnego zdrowia i owe specyficzne, właściwe każdej płci, piękno. Powstałe w ich duszy poszanowanie dla ideałów, później w atmosferze rodzących się sympatji wśród młodej pary — znacznie jeszcze się spotęguje.

(dok. nast.).

ECHA.

T. Z. „ŻYCIE ROBOTNICZE".

Od paru lat wychodzi w Warszawie urzędowy organ „polskich" zmiązków zawodowych „Życie Robotnicze". Niewolniczo zależne od Narodowej Demokracji i przez nią inspirowane „Życie", przez nieporozumienie nazwane „Robotniczem"—mimo to, iż głosi urbi et orbi, iż nie zajmuje się polityką, korzysta z każdej sposobności, by obrzucić błotem przeciwników politycznych N. D. Tak naprz. w № 8 w artykule p. n. „Rozkład" pisząc o sprawie Borowskiej i Brzozowskiego, „Życie Robotnicze" zaznacza, że sprawa, którą w artykule porusza, nie dotyczy bezpośrednio ruchu zawodowego — Mimo to „Życia Robotnicze„ w długim artykule rzuca kalumnje na ruch socjalistyczny. Po co? W tym jedynie celu, aby ucichającą waśń partyjną pomiędzy robotnikami zaognić, W tym względzie „Życie Robotnicze" idzie za przykładem p. Romana Dmowskiego, który odgrażał się, że „zaleje krwią anarchję" zapominając o tem, że nie każde stworzenie ma rogi.

„Życie Robotnicze" tak niedołężnie redagowane, że nawet mniej wybredni pod względem lektury robotnicy endeccy czytać go nie chcą, byt swój zawdzięcza zapomogom wydawanym przez związki zawodowe polskie. Stąd wypływa zupełna zależność pisma od owych związków, a raczej od ich zarządów, stąd pochodzi owa piana wściekłości, z jaką „Życie Robotnicze" rzuca się na każdego, kto wypowiada krytykę działalności związków polskich.

„Życie Robotnicze" pisze: „w pewnym odłamie prasy polskiej, bo w polskim wydawanej języku, spotykamy się z fałszywą „krytyką", którą—bez uchybienia prawdzie—niejednokrotnie mianem fałszywej denuncjacji określićby można". „Życie Robotnicze" nie wymienia przezornie tytułu pisma, jakie ma na myśli, bo wie, że kłamiąc bezczelnie i potwarczo, mogłoby dostać się pod sąd—obywatelski. Z dalszego ciągu jednak widać, że chodzi o „Społeczeństwo". Istotnie, tylko nasze pismo, jedyne z całej prasy polskiej poświęca trochę miejsca robocie polskich związków i w miarę sił i możności stara się ją należycie oświetlić. Że nasza krytyka w tym kierunku nie podoba się „Życiu Robotniczemu" — nic w tem dziwnego, przecież otwiera ona robotnikom oczy na gospodarkę związków polskich.

Chcąc jasno i wyraźnie określić nasze stanowisko względem polskich związków zawodowych, oświadczamy: zwalczamy taktykę polskich związków zawodowych nie dlatego, że są kierowane przez narodowych demokratów, ale dlatego, że dają się używać przeciwko swym towarzyszom pracy (jak naprz. polski związek zawodowy robotników przemysłu mącznego podczas lokautu piekarskiego); dlatego że zaciemniają świadomość robotników różnemi zabawami i widowiskami teatralnemi nie wyrabiając ich społecznie i zawodowo; dlatego że stwarzają biurokratyzm i więcej wydają na administrację niż

na zapomogi bezrobotnym; dlatego, że praktykują niesłychany zwyczaj obsadzania płatnych posad związkowych członkami zarządu i t. d. Zaś „Życie Robotnicze" nie tylko nie przeciwdziała temu, lecz owszem samo stara się, aby było tak, a nie inaczej, redakcja za drogie pieniądze wtyka robotnikom bezwartościową bibułę i czerpie z tego źródła dochody. Cóż dziwnego, że zamiast na krytykę spokojnie i rzeczowo odpowiadać, w gniew wpada i miota oszczerstwa na każdego kto mógłby mu ten miły i dochodny interes popsuć.

PRZEMYSŁ BUDOWLANY.

D. 2 b. m. odbyło się zgromadzenie organizacyjne „Stowarzyszenia Przemysłowców Budowlanych". Na zebraniu tem poruszano, pomiędzy innemi, potrzebę zakładania szkół zawodowych, twierdząc—zupełnie słusznie, że robotnik wykwalifikowany jest o wiele lepszy od niewykwalifikowanego.

Stow. Przemysłowców Budowlanych ma w swej ustawie jeden punkt brzmiący — szczególnie w obecnej dobie reakcji w sposób dość sympatyczny. Punkt ten brzmi:

— Stow. wyszukuje sposoby zapobiegania w drodze ugody lub sądu rozjemczego — nieporozumieniom powstającym na gruncie umów między pracodawcami a pracownikami.

O ile ten punkt ustawy Stow. postara się wcielić w życie, można będzie szczerze mu powinszować, sądy rozjemcze bowiem są w naszych warunkach bardzo pożądane dla stron obu wobec ich wyczerpania długotrwałą walką strajkowo-lokautową.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Kornel Makuszyński. *Rzeczy wesołe.* Nowele. Lwów 1909.

Nie jest to tajemnicą dla nikogo, że śmiać się nieumiemy. Impotencja polskiego humoru jest tak zdecydowana, że napróżno łamią ręcę zwolennicy dowcipów i błazeńskich łamańców.

Trudno bowiem śmiać się dzisiaj tak, jak to niegdyś bywało, bo nasz świat zewnętrzny, wywierający bezpośredni wpływ na istotę humoru jest tak różny od dawnego, tak przytem wybitnie wrogi wszystkiemu co żywe, że śmiać się — przechodząc do porządku dziennego nad wszystkiem co zaszło, jest to niemal profanacją cierpienia! Czasy „Blachy" przekonały nas, że „francuzi północy" umieją „sadzić róże, kiedy płoną lasy" i śmiać się nawet wtedy. kiedy inne narody wytężają wszystkie siły, aby stanąć na odpowiednim dla siebie piedestale. Umieliśmy więc bawić się i śmiać — a że humor nasz stłumiony rozpaczą i beznadziejnością wysiłków — skonał zdławiony cierpieniem — to nienależy zapominać, że razem z nimi z tych samych powodów, upadły większe wartości duszy polskiej. Śmiech szczery, śmiech brzemienny siłą życia — mogą wydawać narody nie gnębione, a nawet i nie gnębiące, tylko człowiek wolny, ufny w potęgę otaczającej go piękności — pewny ważności swego jestestwa, dumny z młodości swojej — może śmiać się tak — aby śmiech ten, nie przez łzy zdążał do serca ludzkiego. Dlatego naprawdę smieją się dzisiaj tylko Francuzi!

U nas są jedynie tacy, którzy ten śmiech udają. Udaje go Perzyński, udaje grzebiąc się w kołtunerji „Pani Dulskiej" Zapolska — udaje też Makuszyński. Stopień kultury autora rozstrzyga o wartości tego udanego humoru. Autor „Rzeczy wesołych" w lekkiej karykaturze pokazuje zaobserwowane przez siebie ułomności ludzkiego charakteru.

To nie jest humor wypływający bezpośrednio z usposobienia autora, p. Makuszyński wykrzywia usta do śmiechu, gromadzi śmieszne sytuacje, oryginalne określenia — tu i owdzie czytający roześmieje się — ale po nad tem wszystkiem unosi się coś jakby echa smutnych refleksji.

Głównemi bohaterami nowel p. Makuszyńskiego są kobiety. Stosunek autora do kobiet jest wysoce nieprzychylny, powiem nawet pogardliwy i wrogi. Posądza je o brak wznioślejszych uczuć i pojmowanie życia z ciasnego seksualnego stanowiska. Pokazane na dowód tego twierdzenia postacie, mają niezaprzeczone wartości żywych ludzi — co nasuwa przypuszczenie, że Makuszyński starał się zgłębić psychologję słabej czy piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Mimo wszystko szkoda, że p. Makuszyński swoich nowel nie traktuje z większą powagą, to uchroniłoby go od ryzykownych wielce określeń, które nie zawsze są wesołe — i potrzebne! W ogólności jednak „Rzeczy wesołe" znacznie przewyższają — wszystkie tego rodzaju nowele — ostatnich czasów....

St. Kiedrzyński.

Z TEATRU.

Kolega Crampton — komedja w 5 aktach G. Hauptmanna. (Teatr Rozmaitości).

Crampton jest wielkim malarzem, którego nałóg pijacki przyprawia o stopniową utratę woli i talentu. Kiedy zaczyna się sztuka jest to już wielkość napół zagasła, żyjąca wspomnieniami świetnej przeszłości. Jest on odmalowany z drobiazgowym realizmem. Charakter jego to mieszanina dziecięcej szczerości i artystycznego smaku. Jest to wizerunek typu artystycznego, natomiast brak Craptonowi głębszych rysów indywidualnych. W stosunku autora do Cramptona przegląda charakterystyczna hauptmannowska chwiejność. Crampton artysta z jednej strony, a z drugiej burżuazyjne środowisko w sztuce Hauptmana w rezultacie się godzą. Nie jest to zapewne wynik ostateczny, lecz bądź co bądź jest to przykry rozdźwięk. Czy Chrampton dlatego czuł się przez całe życie dręczonym, czy dlatego się rozpił, żeby w końcu być zwyciężonym przez filisterską wspaniałomyślność i osiąść w mieszczańskiej Arkadji?

Hauptmann uległ w tej sztuce rozpanoszonemu dziś niezmiernie popędowi, aby godzić zasadnicze sprzeczności i znajdować wszędzie dające się zharmonizować żywioły. Zagadnienie sporu między jednostką wyższą — a ogółem, między człowiekiem samotnym — a gromadą zostało tu sparodjowane z mieszczańską na wszystko wyrozumiałością i z dobroduszną chęcią zatarcia wszelkich różnic psychicznych.

Słowem — jeśli Chrampton jest naprawdę wielkim artystą, to jego upadek nie może być tematem dla dobrodusznej sztuki zakończonej sielankowo. Upadek każdego człowieka jest rzeczą niekomiczną, pomimo tysiąca drobnych nieraz śmiesznych szczegółów, jakie towarzyszą wewnętrznemu rozpadowi. Hauptman dał realistyczne epizody, zabarwione humorem, nie dał — treści. „Kolega Chrampton" jest rzeczą płytką.

L. Ch.

KRONIKA.

— W Warszawie aresztowano kilka osób z pośród miejscowej kolonji niemieckiej.

— W Petersburgu, agenci wydziału ochrany wykryli rozległą organizację tajną, która, jak policja przypuszcza, miała na celu wy-

syłanie broni i nabojów na Kaukaz. Podczas rewizji skonfiskowano około 10,000 nabojów, korespondencję, oraz znaczną sumę pieniędzy.

— Jak dowiadujemy się z mowy posła do Dumy Gierasimowa podczas obrad nad preliminarzem wydziału więzień, w r. 1896 więźniów w państwie rosyjskiem było 85,000. W ciągu lat 10 t. zn. do r. 1906 liczba ta powiększyła się o 10,000 ludzi, w ciągu trzech lat ostatnich zaś podwoiła się prawie, tak, że w d. 14 lutego r. b. mieliśmy liczbę 181,000 więźniów. Uwięzionych, pozostających pod śledztwem, jest w r. b. 56,000; są też małoletni od lat 10 do 17.

— Według obliczeń „Słowa" petersburskiego w lutym (st. st.) wykonano 74 wyroki śmierci (w styczniu wykonano ich 100). W Moskwie wykonano 15 wyroków śmierci, w Ekaterynosławiu — 11, Woroneżu — 10, Rydze i Saratowie — po 5, Kijowie, Odesie i Tambowie — po 4, Dubnie — 2 i w Wilnie, Władywostoku, Łodzi, Warszawie, Połtawie, Pskowie i Włodzimierzu po 1. Prócz tego dwaj skazani na śmierć zakończyli życie samobójstwem.

METROPOLIS.

(Ciąg dalszy).

— Niech mnie pan dobrze zrozumie — rzekła drżącym głosem. Nie żądam abyś się pan do czegoś zobowiązywał. Gotowa jestem na wszystko. Nie cofnę się przed cierpieniem...

— Ale ja nie chcę, byś pani cierpiała przeze mnie. Nie chcę nadużywać słabości kobiety...

— Niczem nie jestem związana — krzyknęła. Wszystko poświęcę, aby żyć z panem... Nic mnie nie wiąże, nie mam żadnych obowiązków.

Przerwał jej:

— Ma pani męża.

Zapalała się nagle gniewem. Krzyknęła:

— Męża! Czy nikt panu o nim nie opowiadał?

— Nie.

— No, to zapytaj pan ludzi. A tymczasem daję panu słowo, że nie mam żadnych obowiązków względem męża.

Montague patrzył w ogień na kominku.

— Ale ja — rzekł — mam obowiązki względem matki i kuzynki.

— Ach, nie mów pan nic więcej! — rzekła gorzko. Albo powiedz pan raczej, że mnie nie kochasz. Oto wszystko co mi masz do powiedzenia. I że nigdy już nie będziesz mnie szanował! Byłam głupia! Popsułam wszystko! Nawet przyjaźń pańską utraciłam...

— Nie! — wtrącił Allan.

Lecz ona mówiła szybko dalej, nie zwracając uwagi na słowo Allana:

— Postąpiłam uczciwie... to chyba mi pan przyzna! Zawsze mówię to, co myślę, i nieraz muszę za to drogo płacić. Ale zimna i wyrachowana nie jestem — więc nie pogardzasz pan mną całkiem!

— Ależ nie. Jest mi tak przykro, że sprawiłem pani cierpienie...

— Nie myśl pan o tem — rzekła gorzko. Nie jestem tego warta, aby się dręczyć z powodu mnie. Ja wiem, co pan sądzi o świecie, w którym żyję. Jestem jego cząstką — biję skrzydłami i usiłuję ulecieć, ale daremnie! Tu tkwię, tu zostanę i tu umrę! Myślałam, że będę mogła mieć trochę radości — nie podejrzywa pan nawet, jak bardzo łaknę choć trochę radości! Życie moje jest czcze! Pan nie wie, jak strasznie jestem samotna! Mówi pan, że nie chce mnie uczynić nieszczęśliwą! Ależ to szyderstwo! Bardzo chętnie pozwolę się uczynić nieszczęśliwą, jeśli to możliwe! Nie żądam niczego — ani obietnic, ani ofiar! Na wszystko jestem gotowa! Żadna nie przestrasza mnie kara!

Śmiała się sarkastycznie przez łzy. Allan wpatrywał się w nią, ona zwróciła się i oczy ich się spotkały. Znowu ujrzał, jak rumieniec zalewa jej twarz i szyję. Nagle jakby ocknęło się w Allanie drzemiące dotąd dzikie zwierzę. Czuł, że lepiej będzie dla niego, a zwłaszcza dla Mrs. Winnie, jeśli jak można najrychlej przestanie ubolewać nad nią.

Chciał wstać i odejść. Słowa pożegnania już mu się kołysały na wargach, kiedy nagle zadzwoniono.

Pani Winnie zerwała się z miejsca.

— Kto tam? — zawołała głośno.

Drzwi się otwarły. Wszedł Mr. Duval.

— Dobry wieczór — rzekł przyjaźnie.

Mrs. Winnie sponsowiała i patrzyła nań świecącemi oczyma.

— Dlaczegoś wszedł bez meldowania?

— Przepraszam — ale znalazłem to w dzisiejszej poczcie...

Montague miał właśnie wstać i przywitać się z panem domu, kiedy dostrzegł w jego ręku fatalny artykuł. Spostrzegł również, że Duval jest mocno podniecony i że nie zdaje sobie sprawy z jego obecności.

Oczy Duvala błądziły od Allana da żony. Spostrzegł, że była zapłakana.

— Proszę mi wybaczyć — szepnął. Nie miałem prawa tu wchodzić...

— Najmniejszego prawa! — rzuciła Mrs. Winnie.

Uczynił ruch, jakby się miał cofnąć. Ale nim zrobił krok, już ona zaszeleściła jedwabiami, opuściła pokój i zamknęła drzwi za sobą z trzaskiem.

Duval patrzył za nią, potem na Allana, wreszcie zaczął się śmiać.

— Well, well — rzekł.

Wreszcie opanował swą wesołość:

— Dobry wieczór!

Dobry wieczór — odrzekł Montague.

Drżał nieco. Duval dostrzegł to i zaśmiał się posępnie.

— Oto z czego powstają sceny. Ale niech się pan nie niepokoi — nie będziemy robili scen.

Montague nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Muszę przeprosić Eweliną. Po prostu wpadłem tu przypadkiem — ten odcinek, pan wie? Nie mam zwyczaju krępować jej. Na przyszłość może pan to postępować, jak we własnym domu.

(D. c. n.).

WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

Heilpern M. Krótki wykład fizyki. —.85
Henikowska L. Przetwory owocowe. Wskazówki do ich wyrobu i przechowywania. —.20
Kulikowska M. Dusze kobiece, serce kobiece. —.60
Kurnatowski J. Rozejm pomiędzy pracownikami i pracownicami. —.20
Miciński Tadeusz. Bazylissa, tragedja. 2.50
Nałkowska-Rygier Zofja. Koteczka czyli białe tulipany. —.80
Sujkowski Antoni. Gieografja ekonomiczna. Część II szczehółowa. 2.—
Szadowska Stanisława. W południe, poezje. 1.—
Vorberg G. Dr. med. Poradnik dla nerwowo chorych. —.40
Żmijewska Eugenja. Dola, powieść. Z przedmową E. Orzeszkowej. 1.60
Barrès Maurice. La Cité du Sommeil. 1.40
Boulonmié P. Dr. Vingt jours parmi les sinistrés. Naples, Colabre, Sicile. 1.40
Cramaussel Edmond. Le premier éveil intellectuel de l'enfant. 1.13
Géniaux Charles. Les forres de la vie. —.70
Joussain André. Le fondement psychologique de la morale. 1.13
Lafforque Jules. La revanche de Paris. Roman. 1.40
Mélia Jean. La vie amoureuse de Stendhal. 1.40
Parodi D. Traditionnalisme et démocratie. 1.40
Whitman Walt. Fenilles d'herbe (Dwa tomy) po 1.40

Wszystkie powyższe książki są do nabycia w księgarni *G. Centnerszwera i S-ki, Marszałkowska 143.*

Redaktor i wydawca Władysław Gacki. T. Kołomański i S-ka, Drukarnia, Nowy Świat 40.